

Dla chcącego nic trudnego

MAREK ŻERAŃSKI | Pomimo wsparcia teatru trzeba codziennie usprawiedliwiać konieczność swojego działania i przekuwać je na konkretne dyrektywy wobec siebie i innych – mówi aktor Teatru Polskiego.

✎: Czy każdy aktor Teatru Polskiego może przyjść do dyrektora Opatowicza, zaproponować mu monodram i mieć w biografii taką premierę jak „Tworki” w pana wykonaniu?

MAREK ŻERAŃSKI: Dla dyrekcji taki wniosek to duże wyzwanie. Proces decyzyjny w przypadku „Tworek” był więc długi i chybliwy. Trwał dłużej niż dwa lata. Z mojej strony działało silne przekonanie, że warto i trzeba „Tworki” zrobić. Ostateczna decyzja o realizacji przedstawienia zapadła niespełna trzy miesiące przed premierą. Być może okoliczności sprzyjały, bardziej niż mogę to sobie uświadomić. Być może pomysł przeniesienia powieści Bieńczyka na scenę znalazł już wówczas wystarczające uzasadnienie merytoryczne. Udało się też wypracować obietnicę dodatkowych środków z budżetu biura kultury. Myślę, że dla dyrekcji ważny był dobór tekstu, moment, w jakim znajduje się teatr, i to, gdzie zabrnęła nasza rzeczywistość, a nie tylko moja propozycja. Nie każdy aktor pragnie takiego sprawdzianu jak monodram. Pomimo wsparcia teatru trzeba codziennie usprawiedliwiać konieczność swojego działania i przekuwać je na konkretne dyrektywy wobec siebie i innych. Działa się samotnie. Mimo to – vouloir c’est pouvoir: dla chcącego nic trudnego!

Marek Bieńczyk jest tłumaczem Milana Kundery, eseistą, znawcą wina i autorem dwóch powieści, w tym wspomnianych „Tworek”. Jak doszło do tego wyboru?

Kwestie grozy i Arkadii poruszane w Tworkach są nadzwyczaj aktualne. Marek Bieńczyk w niezwyklej sposób sublimuje z rzeczywistości wątki na pograniczu optymizmu, ironii i melancholii. Lubi opowiadać. Stworzył świetne narzędzie dla teatru. Jest w nim coś dla mnie właściwego, dobrze leżącego zarówno między słowami, jak i w ich relacjach do siebie. Ale pomógł też przypadek. Grałem kiedyś Gustawa-Konrada w Warszawie, w Cytadeli, i Marek był wówczas obecny. Nie pozostał obojętny. Zrządzeniem losu dowiedziałem się o tym po dwóch latach w pociągu do Krakowa, gdy wsiałem do tego samego co on przedziału. Rozmawialiśmy. Później przeczytałem, co tylko było do dostania z jego książek, i „Tworki” po

pierwszej lekturze stały się wyzwaniem. To było ponad dziesięć lat temu, ale utrzymaliśmy kontakt. Doszły do tego wszystkiego zabawne koincydencje: Marek urodził się 6 lipca, a ja 7 lipca. A dzieli nas tyle lat, ile bohaterka „Tworek” Sonia miała przed napisaniem listu.

Mamy w powieści do czynienia z paradoksalną sytuacją: poza murami trwa wojna, a szpitalu psychiatrycznym panuje względna normalność, wszakże do czasu. Jaką historię pan opowiada podczas spektaklu, bo przecież całej książki pokazać się nie da.

Paweł Kamza potrafi budować sugestywne obrazy, które wypełniają w pewnej mierze to, czego nie udało się zmieścić w słowach. Historia wiodąca to wątek Jurka i postaci z jego otoczenia. To Antyplaton, Sonia i Olek, Marcel i Anna. Zakładam, że życie za murami Tworek było w owym czasie stabilne niczym kondycja psychiczna tamtejszych pacjentów. Ale zdarzało się, że zwykli Polacy ze wspólnoty wykluczeni przez odmienność tradycji i wyglądu uzyskiwali wewnątrz murów na chwilę



BARTŁOMIEJ BIELMAN

Było to porywające doświadczenie formowania zespołu, kształtowania środków wyrazu współbrzmiających z ideą i scenografią. Ożywianie obrotowej sceny zaprojektowanej przez Jerzego Rudzkiego było fascynujące. Tradycja niezależnego teatru studenckiego wsparta dzisiejszym zapleczem technicznym w rękach wybitnych kolegów i koleżanek sprawdziła się świetnie. W sensie ludzkim – wzięłem głęboki oddech. Dziękuję Januszowi Opryńskiemu za wspólną podróż.

Skąd wzięła się pana operowa przygoda i udział w

przedsięwzięciach, jak realizacji w Operze Narodowej, kultywuje dbałość o detale aktorskie. To godne szacunku, poruszające.

Grając w Szczecinie, mieszka pan w Warszawie. Dlaczego?

Urodziłem się i zostałem uformowany w Warszawie, oddycham Warszawą. „Tworki” to także narracja warszawska. Szczecin otworzył się na mnie w chwili, gdy tego potrzebowiałem, mam więc zobowiązanie i spłacam je, grając, lecz jest to w moich oczach miasto niepokoju i niestałości. Miasto podróżników. Nie umiem w nim osiąść właśnie dlatego, że we krwi dzięki rodzinie

„Szczecin otworzył się na mnie w chwili, gdy tego potrzebowiałem, mam więc zobowiązanie i spłacam je grając...”

dwóch spektaklach Mariusza Trelińskiego?

Z sympatii do Mariusza Trelińskiego, którą odwzajemnia, i z pozytywnego doświadczenia pracy przy jego filmie „Egoiści”. Mimo to pierwsza współpraca z Operą Narodową zaczęła się od regularnego przesłuchania. Reżyser postawił od razu duże wyzwanie, a to, co zaproponowałem, mieściło się w jego koncepcji. Zależało mi na tym, żeby zagrało. Światy Mariusza są niebanalne, wyzywające, opakowane w olśniewający rozmach inscenizacji. Machina Teatru Wielkiego oglądana od środka wydaje się nie mieć końca, wciąga jak labirynt. Mam też w sobie a priori zgodę na reżyserię Mariusza i poczucie podobnej osmozy jak w zetknięciu z twórczością Marka Bieńczyka. Czuję się w tej sytuacji swobodnie. Mariusz Treliński, nawet w rozległych

matki mam Warszawę, zaś ze strony ojca – Kurpie. Jak pisze Ryłski, jestem ulepiony z mazowieckiej biedy. Mam potrzebę, by o tym opowiadać, a związek z Warszawą, z Mazowszem jest tak naturalny i niemożliwy do porzucenia, jak naturalny jest dla mnie stan podróży.

A Teatr Polski w Szczecinie – jakie to miejsce na teatralnej mapie kraju?

To teatr, który ma zawsze komplety na widowni. Blisko związany z niewiarygodnie mu oddaną szczecińską publicznością. „Pożar w Burdelu” nie wywoła u niej oczekiwanych emocji, ale spotkanie z profesorem Bonieckim – owszem. To teatr nieziemnie przywiązany do literatury w muzyce i na odwrót, bezwzględnie wierny nostalgii za Krakowem i osadzony w swoim stylistycznym status quo. Trwa, a czas płynie obok. Jest na teatralnej mapie osobną galaktyką. ©©

—rozmawiał Jacek Cieślak